NUMER 14. LWÓW, DNIA 1. WRZEŚNIA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11

CUDOWNY KOŃ.

Prasa niemiecka, nawet najpoważniejsze dzienniki podają nadzwyczaj ciekawą wiadomość. Pewien niemiecki obywatel, pan Osten, ma konia, nad którym pracował przez długie lata i nauczył go czytać i rachować!

Pan Osten jest siedmdziesięcioletnim człowiekiem, który od czternastu lat zajmuje się systematycznem wychowywaniem koni. Czyni to jednak dla swojej przyjemności, tak, że owoców swojej pracy nie rozgłasza. Jego pierwszy wychowanek, o którym opowiada, że rozwinęły się w nim znaczne zdolności, zginął, zanim go poznała szersza publiczność.



Koń, o którym mowa obecnie, jest siedmioletnim ogierem, a pan Osten pracuje nad wychowaniem jego od czterech lat. Tą cichą pracę jego odkryli przypadkiem: uczony niemiecki, Schilling, generał-major Zobel i malarz Rendich i oni rozgłosili sławę pana Osten i jego konia. Niedawno zjechał do pana Osten niemiecki minister oświaty w towarzystwie profesorów i radców cesarskich, ażeby przekonać się o rezultatach pracy pana Osten nad koniem.

Naoczny świadek, który był podczas tej wizyty, tak opisuje: „Koń ten nazywa się Jaś. Zna on doskonale wszystkie liczby od 1 do 100 i rachuje na odpowiedniem liczydle. Liczby dwucyfrowe umie rozdzielać na jednostki i dziesiątki i wie ile do każdej liczby trzeba dodać, aby było 100. Na pytanie odpowiada ten koń za pomocą krótkiego a wyraźnego pukania nogą o ziemię. Podaję tutaj — pisze ów sprawozdawca, szereg zadań rachunkowych, które zadałem koniowi, a które on wszystkie dobrze rozwiązał: ile jest — zapytałem go 5 + 3, 9 + 6, 38 + 7; 9 — 5, 18 — 3, 35 — 12; 5 × 7, 6 × 3, 9 × 8. (Przy tych zadaniach można mu ułatwić odpowiedź w ten spo-

sób, że pyta się ile jest jednostek, ile dziesiątek? Więc on wypukuje osobno jednostki i osobno dziesiątki liczby, która z działania wypadła. Dalej pytałem go: ile jest połowa 6-ciu; trzecia część 24; ósma część 48? Koń na to wyliczył 2, 4, 7, 14, 28. Którą częścią 36-ciu jest 9? Przez co należy podzielić 40, aby iloraz wynosił 5? Jakiej liczby 6-tą częścią jest 5? Ile razy mieści się 3 w 18? Wszystkie pytania podaję tu dosłownie. Ażeby przekonać się, czy p. Osten rzeczywiście nie pomaga koniowi i nie daje mu jakich znaków, napisałem zadania liczbami na ćwiartce papieru tak, aby pan Osten nie mógł widzieć tego, co piszę, a ćwiartkę potrzymałem następnie koniowi przed oczyma. Koń rozwiązał zadanie równie dokładnie i równie szybko, jak pierwej. Nie należy wyobrażać sobie, że tego konia wyuczono mechanicznie wszystkich możliwych kombinacyj cyfr od 1 do 100 i że on dlatego na moje pytania odpowiadał. Bynajmniej. Wyuczono go najwidoczniej myśleć i zastanawiać się. Odpowiada on na zadania bardziej złożone, w których pytanie nie jest tak prostem np.: Twój pan ma 8 rzep w kieszeni i spotyka na drodze dwóch chłopców, dzieli między nich te rzepy — ile dostał każdy chłopak? — Koń puka 4 razy. Albo pytam go: pomyślałem jakąś liczbę, odejmuję od niej 9, a zostaje mi 3 — ile pomyślałem? — Koń puka 12. Twój pan ma w pugilaresie 6 marek*), z tego wydał w drodze 3 marki, gdy wrócił do domu dołożył do pugilaresu jeszcze 4 marki — ile marek miał razem w pugilaresie. Koń wypukuje 7. Ktoś z obecnych zadał koniowi następujące pytanie: Gdy szedłem na obiad, miałem w kieszeni 10 marek, za obiad zapłaciłem 3 marki. W drodze spotkałem swojego krawca i dałem mu 2 marki. Jaką częścią 20-stu było to, co mi zostało w kieszeni? Koń odpowiedział pukaniem 4.

Ten koń umie również zadziwiająco czytać, jak rachować. Można mu zadania pisać słowami zupełnie tak jak liczbami, a on je sobie odczyta, zrozumie i pukaniem odpowie.

Nauczył konia czytać w podobny sposób, w jaki porozumiewają się więźniowie w twierdzach rosyjskich, za pomocą pukanego abecadła. Zrobił tablicę kwadratową podzieloną na 42 kwadraciki, w każdy kwadracik wpisał jedną literę w abecadłowym porządku, tak że a — było pierwszą literą w pierwszym rzędzie, b — drugą literą w pierwszym rzędzie, p — piątą literą w drugim rzędzie. Uczył konia poznawać litery w ten sposób, że przy każdej sylabizował mu jakieś znane słowa i zapoznawał go z niemi bardzo powoli. Z czasem koń przyswoił sobie w ten sposób całe abecadło, tak dobrze jak dziecko i o każdej literze zaraz wiedział, którą ona jest w którym rzędzie i wypukiwał wpierw rząd, np. piąty pięć razy, potem robił małą pauzę, potem wypukiwał która w tym rzędzie litera, np. trzecia, 3 razy.

*) Niemiecka moneta.

W początkach musiał mieć koń, czytając, tabliczkę przed sobą, teraz zna tak doskonale już to swoje abecadło, że czyta bez tabliczki. Pewien hrabia niemiecki, nazwiskiem Königsmarck, odwiedził przed paroma dniami tego konia i powiedział mu swoje nazwisko — koń je natychmiast całe na swój sposób wysylabizował, oczywiście bez litery c. Jeden ze zwiedzających pokazał koniowi parasol i zapytał czy wie co to jest, koń potakująco kiwnął głową i wypukał, oczywiście po niemiecku — p-a-r-a-s-o-l.

Pokazałem koniowi swój zegarek kieszonkowy i spytałem go, która godzina? Zapukał 12 razy, a po małej pauzie 20 razy. Była istotnie godzina 12 minut 20. Potem schowałem zegarek i spytałem między jakiemi cyframi znajduje się mała wskazówka, gdy jest pięć minut po wpół do 8-mej. Zapukał 7 razy, a po chwili 8 razy. — Gdzie wtedy stoi duża wskazówka? — Zapukał 7.“

Gazety piszą, że koń ten poznaje kolory i okazuje to zapomocą odpowiedniego systemu pukania, jak również zna karty do grania, monety, poznaje fotografie, zna daty rozmaitych urodzin na dworze cesarskim i t. d.

Sprawozdawcy utrzymują, że p. Osten nie daje koniowi, żadnych znaków i że on zupełnie samodzielnie odpowiada. Jest to bardzo nieprawdopodobnem. Przekonaćby się można o tem łatwo w ten sposób, gdyby się konia na jakiś czas oddało sumiennemu i uczciwemu człowiekowi, do którego onby się za parę dni przyzwyczaił — który kazałby mu czytać i rachować. Faktem jest, że koń ten narobił w niemieckiej prasie dużo wrzawy. Wierzymy, że p. Osten podpowiada koniowi w jakiś sposób odpowiedzi, które ma dawać. Ale choćby nawet tak było, co jest najprawdopodobniejszem, to jednak jest koń ów cudownie inteligentnym, że rozumie te podpowiedzi i nie myli się.

Zauważyć trzeba fakt, że konie bynajmniej nie należą do najinteligentniejszych istot w świecie zwierzęcym, przeciwnie, uważane są zwyczajnie za głupie. Gdyby taki człowiek jak p. Osten, który ma w każdym razie nadzwyczajną zdolność kształcenia zwierząt, zajął się np. papugą lub małpą, jakież nadzwyczajne mógłby osiągnąć rezultaty!

ALFONS DAUDET (czyt. Dode).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z FRANCUSKIEGO).

Ogród cudów.

Nigdy nie zapomnę mojej pierwszej wizyty u pana Tartarin (czyt. Tartarę) w Taraskonie. Mieszkał on wtedy prawie u krańca miasta, w ładnej małej willi z ogrodem.

Na pozór nie było nic niezwykłego w tem mieszkaniu — niktby nie pomyślał, że bohater w niem gości.

A jednak... skoro próg domu przestąpiłeś, Czytelniku, jakże dziwne ogarniały cię uczucia! Czujesz, że coś wielkiego, coś wzniosłego ze wszkąd cię otacza!

W ogrodzie nie było ani jednego krajowego drzewa, ani jednej swojskiej roślinki — widać tylko egzotyczną florę. Gumowe drzewa, strzelające ogórki, krzaki bawełniane, palmy kokosowe, magnolie, figi. Zdawało mi się, że jestem w Afryce, choć Taraskon leży o 10.000 godzin, mniej więcej, od Afryki oddalone!

Biednym tym roślinkom zdala od ojczyzny zgoła dobrze nie było. Palma kokosowa nie urosła tak bujnie jak w Afryce, nie przewyższała nawet wielkością... buraka, a baobab, istny olbrzym między drzewami — dosięgał wielkości.., rezedy! Mniejsza o to! Mieszkańcy Taraskonu nie zważali na takie drobnostki, dumni byli z baobabu i ilekroć pogoda sprzyjała — wędrowali do ogrodu Tartarina (czyt. Tartarena) i, pełni podziwu, stawali przed dziwacznem drzewem.

Na baobab ten spoglądał też ze straszną dumą i radością pan Tartarin z okien swojej pracowni. Była to duża komnata — ściany jej pokrywała gęsta sieć strzelb i pałaszy. Od miejsca do miejsca widniały karteczki: „Nie ruszać! to zatruta strzelba!“ albo: „Baczność! broń nabita!“

Na środku pokoju stał stolik zawalony najrozmaitszemi gazetami, książkami z opisem łowów, bitew i podróży. Przy stole siedział mężczyzna lat 40-tu do 50-ciu, niski, otyły i pękaty.

Był to Tartarin, nieustraszony, wielki, niezrównany Tartarin z Tareskonu, bohater naszej powieści.

II. Taraskon i jego mieszkańcy.

Wszyscy mieszkańcy Taraskonu lubili nad życie łowy: polowanie było najważniejszem — poniekąd jedynem ich zajęciem. Zwierzyna — choć głupia, wiadomo, z natury — poznała się wnet na tem i wyemigrowała w dalsze okolice. Kilka mil w około nie było już ani jednego ptaka, ani jednego zwierza!

Przepraszam! Pozostał zając, mały, szary, samotny. Nie bał się strzelców i nie uciekał przed nimi. Niktby się nie odważył zabić takiego bohatera, wszyscy znali go i szanowali, dano mu nawet przydomek „Szybkonogiego“. Zając żył sobie tedy spokojnie, nie uciekał przed ludźmi i urządził sobie nawet mieszkanie w ogrodzie jednego z obywateli miasta. Obywatel ten dumnym był z tego, że Szybkonogi u niego mieszka — w oczach wszystkich wartość majątku jego powiększyła się w trójnasób.

Cóż robili strzelcy, skoro nie było zwierza? — Co niedzielę wychodzili gromadnie w pole o 2—3 mil oddalone od miasta. Strzelby mieli na ramionach — miny czupurne! Potem dzielili się na mniejsze grupy po 5 do 6 osób. Układali się w cieniu płota albo drzewa, wyciągali torby myśliwskie — jeden wyjmował ze swojej torby kawałek pieczeni, drugi sałatę, ten przyniósł kiełbasę — ów sardynki, tamten wino — i posilali się w najlepsze po trudach marszu.

Potem następuje zwyczajnie odpoczynek — drzemka...

Wtem budzą się, wstają i porywają za strzelby. Każdy czapkę rzuca wysoko do góry celuje do niej... pada pięć, sześć strzałów, a czapka podziurawiona upada na ziemię (nieraz tylko dwa strzały wystarczają, to zależy od zręczności).

Kto najcelniej strzelał, zostaje obrany królem. Wiozą go w tryumfie do miasta. Tylko zamiast berła, wtyka podziurawioną czapkę na strzelbę. Spogląda dumnie w około — męże cieszą się, psy szczekają — radość ogólna!

Rozumie się samo przez się, że w mieście handlowano czapkami na wielką skalę. Niektórzy wyrabiali nawet już podziurawione czapki.. to bardzo niełdnie!

Tartarin był niezrównanym pogromcą czapek. Każdej niedzieli wyjeżdżał z domu w nowiuteńkiej czapce i powracał w starej, zmiętej i podziurawionej. Miał ich setki na strychu. Znał się na łowach znakomicie, czytywał mnóstwo książek o myśliwstwie, począwszy od sposobów polowania na czapki, a skończywszy na walce z tygrysami. To też współobywatele czcili go i szanowali i we wszelkich ważniejszych kwestyach i sporach, uznawali go swoim zwierzchnikiem i sędzią.

Codzień między 4—5 odwiedzał rusztownika Kostekalde. Siadywał na dużym, zielonym fotelu i kurzył długą fajkę. W koło tłoczyli się strzelcy, napełniając sień i pokój cały — wytaczano wszelkie sprawy, Tartarin sądził i godził zwaśnionych.

III. Oni.

Mimo te hołdy i uwielbienia współziomków, mimo podziwu wszystkich, Tartarin nie był szczęśliwy. Życie w małem miasteczku nie zadowalniało go wcale. Było mu duszno, ciasno — wielki mąż nudził się w Taraskonie! Jakże ta bohaterska dusza, marząca o przygodach, o bojach rycerskich i niebezpiecznych łowach, mogła zadowolnić się strzelaniem na czapki i sądzeniem zwaśnionych współziomków?

Napróżno starał się wmyśleć w życie szerokiego świata; napróżno, za przykładem niezrównanego Don Kiszota pragnął zapomnieć o ojczyźnie, żyć, fantazyą przynajmniej, w dzikich krajach; napróżno posadził baobab w ogrodzie i otoczył się najrozmaitszemi zagranicznemi sprzętami! — Nie mógł zapomnieć o codziennej jednostajności swojego miasteczka. Nieraz podczas czytania lub przeglądania zbrojowni, porywał go zapał rycerski. Chwytał wówczas za zbroję i wołał na głos: „do boju!“ Gdy wiatr poruszał listeczkami baobabu, zdawało mu się, że słyszy tajemny, ukryty głos, mówiący o podróży, o boju, o sławie...

Nieraz, wśród nocnej ciszy, porywał rozogniony Tartarin szablę i biegał po pokoju, wymachując.

— Niechaj przyjdą! niech przyjdą! gdzie oni?

— „Oni“ — Tartarin dokładnie nie wiedział, kim byli ci „oni“. „Oni“ — to wszyscy których do boju wyzwie; „oni“ — to wpół dzicy Indyanie, to białe niedźwiedzie z niezbadanych puszcz, to beduini z odległej oazy, to korsarze, to bandyci! „Oni“ — to boje, walki, przygody, podróże, łowy i sława!

Napróżno wołał nieszczęsny Tartarin. „Oni“ nie przychodzili — i czegóżby szukali w spokojnym Taraskonie?

Tartarin nie tracił nadziei. Wierzył, że „ich“ kiedy zobaczy. Czekał na „nich“... i szedł do klubu.

(C. d. n.)

Oswojony Bocian.

Kochana Irmusiu!

Nie mogłam napisać do Ciebie wcześniej. Przyjechawszy do Dziadków, używamy wsi i swobody tak dalece, że przez cały dzień do pokoju nie zaglądamy nawet. Uganiamy po łące, polach, zaglądamy do stajni, do obory, do gospodarstwa. Wszystko to znasz już z mojego opowiadania. Prawdziwą niespodziankę zastaliśmy u Dziadków. Już zapraszając nas do siebie, pisał Dziadek coś o „niespodziance“. Zgadywałyśmy nawet w domu rozmaite rzeczy, ale czegoś podobnego nie byłabym nigdy przypuszczała.

Wyobraź sobie, przyjeżdżamy, po podwieczorku zaprasza nas Dziadek do ogrodu. Wychodzimy i widzimy zdaleka koło parkanu bociana. Tadzik przytrzymał mię za rękaw: „Cicho, pomału, bo ucieknie“. Widok bociana tak zblizka zaraz po powrocie z miasta, bardzo nam był przyjemnym. Tadzik prosił Dziadka, by przystanął, nie szedł dalej, bo chciałby bociana obejrzeć, ale Dziadek nie słuchał go, uśmiechnął się tylko. Nareszcie przystanął, włożył ręce w kieszenie i zawołał: „Boćku! boćku! chodź! chodź!“ a bocian zwrócił się do nas i poważnie, wolnym krokiem szedł w naszą stronę.

Byłam, jak sobie łatwo wyobrazisz, mocno zdziwiona i uradowana, ale parsknęłam śmiechem na widok Tadzia. Twarz jego wyrażała tyle szczęścia i zdumienia zarazem, że arcykomicznie malec wyglądał.

— To jest niespodzianka, o której Dziadzio pisał! — zawołałam — Dziadzio ma oswojonego bociana!

— Jakże go można było oswoić? — pytał Tadzik.

— Przyniósł mi go wiejski chłopak, gdy był całkiem maleńki, trochę mu skrzydła podciął, żeby nie odleciał. Karmiłem go troskliwie i przywiązał się ptak skutkiem tego do mnie tak, że jak pies za mną chodzi. Ciekawem było widzieć go w maju. Lubił chrząszcze majowe. Chodził ze mną po ogrodzie i przed każdym drzewem niemal przystawał, dziób wznosił do góry, trzepał skrzydłami, potem patrzył na mnie. Wówczas potrząsałem drzewem, a chrabąszcze zlatywały na ziemię. Toż to było radości! bocian wyjadał je spiesznie. Brał w dziób, podrzucał do góry, potem chwytał i połykał, przytem klekotał wesoło.

Myślałam, że klekotanie to jest głos, jaki bocian wydaje, ale Dziadek powiedział, że słyszał już głos bociani. Słyszy się go bardzo rzadko i tylko zblizka, bo jestto tylko ciche syczenie. Klekocąc, nie wydaje bocian żadnego głosu, tylko dzióbem trzepie, ale czyni to tak rozmaicie i z taką wprawą, że porozumiewa się za pomocą tego w zupełności.

Onegdaj kopano rów za ogrodem, bocian wnet to spostrzegł, stanął sobie przy kopiących i nie odstępował ich, a każdą glistę ziemną, lub robaka, który się przy kopaniu pokazywał, wyłapywał w mgnieniu oka.

Dziadek lubi tego bociana i dogadza mu. Spostrzegł, że lubi małe rybki, więc nie kazał ich przy łowieniu wrzucać napowrót do wody, tylko chować dla bociana.

Nasz bociek wnet się zoryentował, zrozumiał, że się to wędką ryby łowi i niech tylko kto z domowników pokaże się z wędką, zaraz go bocian zobaczy, przyleci (bo skrzydła mu już trochę odrosły) i idzie za nim krok w krok jak piesek, aż do stawku. Tam siada i czeka na połów, o którym wie, że jemu się dostanie.

Wiesz zapewne, żc już na wsi orzą. Otóż przedstaw sobie, że nasz bociek wychodzi za Dziadkiem w pole i krok w krok chodzi za pługiem i wyjada robactwo z przewróconej pługiem skiby.

Wszyscy w domu lubią tego bociana, a on nawet z psem i kotem dobrze żyje, ale tylko z naszym oczywiście. Gdy się tylko jaki obcy pies lub kot zjawi, natychmiast rozpoczyna się sroga walka.

Razu pewnego, gdy Mama chwaliła, jaki ten bocian jest rzeczywiście w ogrodzie użyteczny przez to, że tępi robactwo, rzekł Dziadek:

— Nie macie pojęcia, jak bardzo bociany są drapieżnemi. Nie mówię już o tem, że wyjadają żaby, ryby i owady, ale rzucają się na legowiska zajęcze i zabijają młode zające, mimo obrony starych. Bywają wypadki, że bocian napada gniazdo innego bociana i zabija młode, zabija chore i niedołężne bociany, a słyszałem o wypadku, że bociany zabiły oswojonego, który w sierpniu odlecieć z niemi nie chciał.

Mama dziwiła się raz temu, że można bociana oswoić i mówiła, że nigdy przedtem nie słyszała o tem.

Dziadek odrzekł, że wiedział o oswajaniu bocianów już dawniej, inaczej nie byłby się brał do tego wcale. Miał w młodości przyjaciela, który przez parę lat chował oswojonego bociana. Skrzydła podcinał mu nieco, tylko przed odlotem, by nie mógł odlecieć z innymi. W zimie miał się bocian dobrze i mieszkał na gnieździe aż do wysokiego śniegu. Gdy śnieg był wysoki, sprowadzano go do drwalni. Nie lubił jednak tego, raczej wolał nocować, stojąc w rzece u brzegu, gdzie go rano nieraz znajdowano z przymarzniętemi nogami.

Gdy się zobaczymy po wakacyach, opowiem Ci więcej rzeczy o wsi i o naszym boćku. Teraz ściskam Cię serdecznie.

Twoja

Zosia.

Ciekawy Antek.

(Giąg dalszy).

Początkowo każda rodzina wytwarzała sama wszystkie przedmioty, które do życia jej były potrzebne.

Zczasem, gdy się rzemiosła udoskonaliły, nie mógł już każdy tak dobrze niektórych przedmiotów zrobić, jak fachowy rzemieślnik np. kowal, szewc, stelmach, kołodziej itp. Gmina przyjmowała więc rzemieślnika, wyznaczała mu mieszkanie, zczasem dopuszczała go nawet do udziału w podziałach gruntu. Który z członków gminy potrzebował czego od tego rzemieślnika do swojego gospodarstwa, przynosił mu surowy materyał np. drzewo, żelazo itp. i zamawiał u niego taki a taki przedmiot, tak jak się dziś jeszcze materyę do krawczyni daje i zamawia z tego ubranie; wzamian za pracę jego pracowano na jego polu, lub dostarczano mu środków żywności, wedle umowy.

W większych gminach, które były położone przy dobrej drodze, a do których częściej obcy ludzie przyjeżdżali, rzemieślnicy kupowali sami surowy materyał jak np. dziś szewc skórę kupuje, choć nikt u nich niczego nie zamówił i robili na własny rachunek, na sprzedaż, licząc na to, że ktoś przyjdzie i przedmiot gotowy kupi. W takich gminach gromadziło się coraz więcej rzemieślników, bo mieli tu dobry zarobek. Pierwotni mieszkańcy tej gminy nie dopuszczali tych rzemieślników do brania udziału w podziale gruntu ani do znaczenia w gminie.

Aby obronić się przeciw nim, rzemieślnicy połączyli się w cechy. Cechy atoli miały prócz obrony rzemieślnika przeciw arystokracyi miejskiej jeszcze to zadanie, aby baczyć, by wszyscy członkowie cechu byli sobie równi, by jeden nie stawał się bogatszym od drugiego. (Tu Tomek i Antek słuchali ciekawie). Czyniły to w ten sposób, że pilnowały bardzo skwapliwie, aby jeden rzemieślnik nie wytwarzał więcej przedmiotów od drugiego, nie zajmował więcej czeladników od drugiego itd. Również w dniach targowych rzemieślnik nie śmiał zachęcać lub nawoływać gościa, który stał przy straganie drugiego. W ten sposób nie mogło się jednemu rzemieślnikowi powodzić lepiej, niż jego koledze.

W niektórych miastach, które były szczególnie korzystnie położone, w których przemysł lepiej się rozwijał, bogacili się rzemieślnicy, nabierali wpływu i stawali w znaczeniu obok rodowej arystokracyi miejskiej.

Tak było do 15 w., do odkrycia Ameryki.

Z odkryciem Ameryki otworzyło się odrazu, jakby różdżką czarodziejską, całe mnóstwo miejsc zbytu dla europejskich towarów. Rzemieślnicy mogli śmiało wytwarzać kilkanaście razy więcej przedmiotów, niż dotąd — na wszystko znaleźli się odbiorcy — w Ameryce. A amerykańskie złoto zabierano do Europy. Kupcy i wytwórcy europejscy wzbogacili się szybko. Przemysł im się opłacał, więc starali się go rozwinąć. Warsztaty powiększono tak, że zajmowały całe wielkie budynki; zatrudniano kilkanaście razy tyle czeladników, co dawniej; żaden już teraz czeladnik nie robił całego przedmiotu, tylko, aby praca prędzej postępowała, podzielono ją między pracujących: ten tylko ścinał, ów tylko piłował, trzeci tylko sklejał itd.

Przepisy cechowe okazały się wtedy przestarzałemi, były dla wszystkich tylko ciężarem. Dążenie do pozbycia się ich było ogólne. I zrzucono je. Każdy mógł teraz wytwarzać ile chciał, bogacić się ile tylko mógł.

W tych czasach wynaleziono m a s z y n y. Maszyna zastąpiła pracę ludzką, odmienne części jednej i tej samej maszyny cięły, piłowały, kleiły. Tak jak w dawnych czasach robił to jeden człowiek — ale jakaż różnica w tej robocie! — Praca rzemieślnicza przemieniła się w pracę fabryczną.

Gry i zabawy.

I.

Siłacze.

Znamy łatwy sposób zabawienia się w siłaczy. Cztery osoby zapowiada piątej, że ją podniosą ośmioma palcami, t. j. każdy użyje tylko dwóch palców i podniosą ją razem. Robi się to w ten sposób, że osoba, którą się ma podnieść ma usiąść na krześle o niskiej poręczy, na taborecie lub stołku, ale nie głęboko, tylko na kraju

lub do połowy krzesła, tak, aby kolana miała wolne i zgięte. Osoby, które mają ją podnieść, składają ręce, jak do modlitwy, ale w ten sposób, że pierwsze, trzecie, czwarte i piąte palce obu rąk są mocno ze sobą splecione, a drugie palce obu rąk są wystawione prosto i przytknięte do siebie. Tak składają ręce wszystkie osoby, które mają podnosić siedzącą i ustawiają się w ten sposób, że dwie stają za krzesłem, po jednej przy każdem ramieniu siedzącej osoby, a dwie drugie przykucają przy kolanach tej osoby po bokach, nie z przodu, każda z jednej strony krzesła, tak, że są twarzami do siebie zwrócone. Osoby z tyłu stojące, wkładają każda dwa wyciągnięte palce pod pachę siedzącej osobie, jedna pod jedną pachę, druga pod drugą, a drugie dwie osoby wtykają palce w ten sam sposób pod kolana siedzącej, każda pod inne kolano. Na dany znak wszystkie razem palcami w górę podnoszą siedzącą osobę z największą łatwością.

Można w ten sposób z łatwością podnieść najcięższą osobę, a dzieci — oczywiście nie bardzo małe — mogą podnieść dorosłego człowieka bez wysiłku.

II.

Zagadkowe kartki.

Bierze się cztery kartki, wielkości biletów wizytowych i wypisuje na każdej z nich nazwy czterech miast, n. p.:

RZYM	ZARA	YORK	MADRYT
BERLIN	PARYŻ	LONDYN	WARSZAWA
LWÓW	WIEDEŃ	PRAGA	AMSTERDAM
WENECYA	NEAPOL	FLORENCYA	EDYNBURG

Na odwrotnej stronie tych samych kartek piszemy kolorowym ołówkiem te same nazwy w następującym porządku:

Rzym	Berlin	Lwów	Wenecya
Zara	Paryż	Wiedeń	Neapol
York	Londyn	Praga	Florencya
Madryt	Warszawa	Amsterdam	Edynburg

Reguła jest ta, że na każdej kartce wypisuje się tyle miast, ile jest kartek wogóle, jeżeli trzy kartki — to będą na każdej nazwy trzech miast, jeżeli pięć — to pięciu i t. d. Również nazwa pierwszego miasta na pierwszej kartce składać się ma z tylu liter, ile jest kartek. Wybraliśmy cztery kartki, bo „Rzym“, pierwsze miasto na pierwszej kartce, składa się z czterech liter.

Na odwrotnej stronie kartek wypisaliśmy te same nazwy, ale w tym porządku, że na pierwszej kartce są wszystkie te nazwy, które na wszystkich innych zajmują pierwsze miejsca; na drugiej — te, które stoją na drugiem miejscu innych kartek; na trzeciej — trzecie; na czwartej — te, które na ostatniem miejscu się znajdują. Poczem kładzie się kartki za porządkiem tą stroną do góry, która jest czarnym ołówkiem zapisaną i podejmuje się wobec osoby, nie znającej tej sztuki, odgadnąć to miasto, które ona sobie wybierze i pomyśli. Pyta się jej tylko, na której ono leży kartce. Potem odwraca się kartki kolorową stroną do góry i pyta, na której kartce teraz się to miasto znajduje. Wtedy już odgadnąć łatwo, bo tylko jedno i to samo miasto znajdować się może na dwóch kartkach. Osoba, której się tę sztukę pokazuje, nie tak łatwo zmiarkuje, zwłaszcza, jeżeli się to robi zgrabnie.



Grabarze.

„Chodź, moje dziecko“, rzekła Mama do Helusi, która na ganku zajęta była zabawą w klocki, „Tatuś dziś przyjeżdża do nas, pójdziemy po niego na stacyę“. — „O dobrze, dobrze“, zawołała dziewczynka, klaszcząc radośnie w ręce. Helusia lubiła bardzo chodzić z Mamą na stacyę kolei i przypatrywać się zblizka nadjeżdżającym pociągom, wysiadającym i wsiadającym podróżnym, a dzisiaj tem chętniej poskoczyła za Mamą, że miała iść naprzeciw Tatusia, który tylko parę razy na tydzień przyjeżdżał z miasta, aby odwiedzić dzieci, mieszkające z Mamą na wsi.

Trzymając się ręki Tatusia, w wesołych podskokach wracała niedługo Helusia z Rodzicami do domu. — „Oh, patrz Tatusiu!“ zawołała nagle dziewczynka „jaki śliczny ptaszek tam leży! czy on nieżywy?“. Zbliżył się Tatuś, wziął do ręki ptaszka i obejrzał. „Tak, Heluśku, ten ptaszek zabił się, uderzywszy w locie główką o druty telegraficzne, które tu są rozciągnięte między słupami — w okolicy drogi żelaznej dużo ptaszków ginie w ten sposób. Obejrzyj go sobie dobrze, widzisz jakie on ma ciemne piórka, upstrzone białemi centkami — taki ptaszek nazywa się szpak. Jestto mądre stworzonko, łatwo oswaja się między ludźmi, a tak jest pojętny, że można go nauczyć gwizdać różne piosenki i nawet gadać, podobnie jak papugę. Zostawmy go tutaj gdzie upadł — jak jutro będę odjeżdżał, przejdziemy tędy i zobaczymy co się z nim stanie“.

Helusi żal się zrobiło biednego ptaszka i smutna poszła dalej. Ale gdy przyszła do domu i zastała malutką siostrzyczkę, figlującą z kotkiem, zajęła się też zabawą i wkrótce zapomniała o ptaszku. Nazajutrz rano Tatuś odjeżdżał do miasta i znów Mamusia z Helą poszły go odprowadzić do pociągu. Gdy dochodzili do miejsca, w którem wczoraj znaleźli nieżywego ptaszka, Helusia przypomniała sobie o nim i pobiegła naprzód. „Tatusiu, patrz co się dzieje z biednym ptaszkiem, jakieś szkaradne robaki chcą go pogryźć!“ zaczęła

wołać dziewczynka. Rzeczywiście, kilkanaście sporych chrząszczy, czarnych z żółtemi pręgami na twardych pokrywach skrzydeł, krążyło dokoła ciała ptaszka. „Nie, córeczko“, powiedział Tatuś — „te owady nie będą gryzły szpaka, przyjrzyj się bliżej, a zobaczysz, że one chcą go pochować w ziemi i grób mu kopią przedniemi nóżkami. O, widzisz te dwa chrząszcze jak się podkopują pod ptaszka? One są za małe, żeby ciało ptaka przeciągnąć gdzieś do dołka, więc usuwają pracowicie ziemię z pod niego, aby go potem zasypać zwierzchu, gdy już całe ciało skryje się w dołku. Gdy tu przyjdziesz za parę dni, to zobaczysz, że już ptaszek będzie cały zagrzebany w ziemi. Te owady nazywają się grabarze“. — „Ale po co te grabarze tak robią?“ spytała dziewczynka. — „Widzisz, Kochanie, one w ciele nieżywego zwierzątka składają swoje jajka, aby, wylęgające się z tych jajek, młode miały odrazu gotowe pożywienie. Przytem w ziemi młode liszki bezpieczne są przed napaścią pożerających je ptaków i innych wrogów. Dla ludzi ten zwyczaj grabarzy też jest pożyteczny, bo zakopują one w ziemi wszystkie nieżywe zwierzęta, które inaczej, gnijąc na słońcu i w wilgoci, zatruwałyby powietrze“.

Helusia z uwagą słuchała opowiadania Tatusia, przypatrując się zarazem grabarzom, które już tymczasem zdążyły trochę powiększyć dołek pod leżącym szpakiem.

Gdy Tatuś po paru dniach znów przyjechał na wieś i Helusia wyszła naprzeciw niego, to już ze szpaka ani śladu nie było — grabarze zasypały go całkowicie, i tylko jeden z nich przechadzał się poważnie po świeżej mogile ptaszka, zadowolony ze swego dzieła. *J. K.*

Odpowiedzi od Redakcyi.

Jadwini J. we Lwowie. Czy to Jadwinia posłała nam list bez podpisu?

Jance S. w Rzeszowie. Dziękujemy Janince za ładny list — szkoda, że Janinka wszystkich zagadek nie rozwiązała. Postaramy się, żeby nadal błędów w zagadkach nie było.

Różyczce C. i Perełce w Lipnicy. Dziękujemy za liścik.

Różowej Różyczce w Krakowie. Bardzo pragniemy poznać bliżej i zaprzyjaźnić się z wszystkimi naszymi Czytelnikami, a z Różową Różyczką, która takie ładne listy pisze z pewnością. Może to jeszcze kiedy nastąpi? Może, gdy Różowa Różyczka będzie przy jakiejś sposobności we Lwowie — zechce wstąpić do redakcyi „Promyka“ i zobaczyć, jak u nas wygląda. „Promyk“ wszystkich swoich Czytelników chętnie przyjmuje i cieszy się nimi bardzo. Za posełanie nam zagadek nigdy się Promyk nie gniewa — przeciwnie. Za pomocą tych zagadek stają się Czytelnicy — Współpracownikami naszymi. Naturalnie musi Promyk wybierać tylko najlepsze z nadesłanych.

Tosi N. w Krakowie. Promyk będziemy posełać regularnie.

Trafnie rozwiązali wszystkie zagadki tylko: Herminka S. ze Lwowa; Różowa Różyczka z Krakowa; Bronisława H. z Kołomyji; Matiasz G. z Przemyśla; Alfred H. z Kołomyji; Adaś K. z Krakowa; Ludwiś A. z Podgórza; Helena R. w Tarnopolu; Tosia S. we Lwowie. Figielek zagadkowy rozwiązały Lońcia i Brońcia N. w Tarnopolu.

Nagrodę dostanie: Adaś K. w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 13.

Łamigłówka.

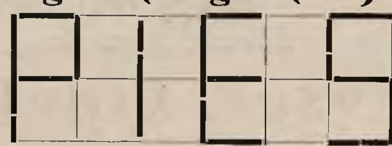
1. **Ewerest**
2. **Uy**
3. **Fenig**
4. **Rygor**
5. **Apeniny**
6. **Tyflis.**

Początkowe i końcowe litery tworzą słowa: Eufrat i Tygrys.

Szarada

Kawalerya.

Figielek zagadkowy:



Zagadki.

I.

Łamigłówka sylabowa

ułożył Henryk S. z Brodów.

Sylaby: Er — tru — al — ry — ci — furt — dro — gier — no — skarb — zna — fe.

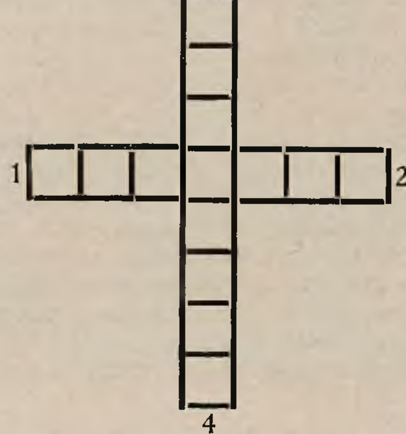
Ułożyć tak, aby początkowe litery, czytane z góry na dół, dały imię króla polskiego, a końcowe — jego nazwisko.

1. Rzecz drogocenna
2. Napój zabijający
3. Miasto w Niemczech
4. Komedyopisarz polski
5. Kraj w północnej Afryce
6. Kryjówki zwierząt.

II.

Zagadka krzyżowa

ułożona przez Franciszkę C. z Przemyśla.



Wpisać w ten krzyż litery, które czytane od 1—2 dadzą imię wielkiej wyspy we wschodniej Azyi; od 3—4 stolicę tej wyspy.

III.

Szarada

ułożona przez Leona M. ze Stanisławowa.

Jestem ścianą
Murowaną;
Wspakiem znacie
Mię w herbacie.

IV.

Zagadka konikowa

ułożona przez Maniusię W. ze Lwowa.

Sylaby w kwadratach tak poprzestawiać, aby ułożyły znane przysłowie:

Po	na	rze	ku
dy	o	ze	dy
wszę	grzę	zwol	chce

W nagrodę za trafne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy młyn piaskowy.

Kącik dla małych dzieci.

Piesek Fidel.

Pies przyjaciel jest człowieka,
Strzeże domu, na złych szczeka
I posłużyć dzieciom umie,
Co powiedzieć, to zrozumie.

Józio mówi coś z powagą
Fidel słucha go z uwagą,
I uważnie nań spogląda,
By zrozumieć, czego żąda.

Fidel nigdy nie próżnuje,
Nosi koszyk, aportuje,
A na każde zawołanie
Na dwóch tylnych łapkach stanie.

Z dziećmi się też ciągle bawi,
A gdy Józio kij postawi
I z uśmiechem spojrzy w oczy,
Fidel zawsze kij przeskoczy.

KORALE.

Dzieci przybiegły do domu zdyszane i uradowane. Każde z nich miało na szyjce długi, piękny sznur korali.

Mamusia zdziwiona popatrzyła na nie, a one opowiadały szybko:

— Maryanna wyszła z nami na przechadzkę, w drodze narwała dużo owoców jarzębiny i kaliny. Potem w domu poobrywała je z gałązek i nawlokła na nitkę, teraz mamy takie same korale jak ciocia Ańdzia, tylko nasze są mniej twarde.

— A cioci trochę mniejsze — rzekł Józio.

— Pewnie cioci korale są z innego drzewa — powiedziała poważnie Cesia.

— Cioci korale to co innego niż wasze — odrzekła Mamusia.

— Czy drzewo może mieć takie twarde owoce jak kamienie?

Na to pokazała mamusia dzieciom obrazek. Na tym obrazku wyrysowane było morze. Mamusia tłomaczyła dzieciom: widzicie to jest morze. Morze to jest tyle wody, więcej niż ma rzeka, i więcej niż staw, i więcej niż jezioro. Jeżeli się stoi nad morzem, to się przed sobą nic nie widzi, tylko wodę, a gdy się jedzie okrętem po morzu, to się nie widzi nigdzie, ani ziemi, ani trawy, ani drzewa, tylko samo morze.

— A jak myślicie — pytała Mamusia — co tam jest w tem morzu?

— Rybki! — odpowiedział prędko Józio.

— Dobrze, a co jeszcze?

— Muszelki — rzekła Cesia, której raz Wujcio muszelki z nad morza przywiózł.

— A jeszcze co?

— Może raczki.

— Są i raczki, ale na samem dnie morza, tak głęboko, że się tego nigdy nie widzi, rosną roślinki i mieszkają rozmaite stworzonka. Tam znajdują się dziwne, różowe, małe, chropawe drzewka z kamienia. Nie są to właściwie drzewka, bo nie mają listków, ani korzeni i są bardzo twarde. Jest to coś takiego co żyje, je i rodzi się w morzu — to są korale.

Ludzie wielkiemi sieciami wyrywają z morza te korale, przecinają je piłką i gładzą, to znaczy szlifują i robią z nich takie korale, jak ma ciocia Andzia.

— To to nie są nasiona z drzewek, jak nasze koraliki?

— Zupełnie nie.

— Ale nasze łatwiej dostać można.

— Rzeczywiście, lecz wasze korale z kaliny zwiędną za dni parę, a korale cioci Ańdzi nigdy się nie zepsują.

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.